

Michał Jaskólski\*

## PROBLEM ZWIERCIADŁA

### O niektórych zagadnieniach interdyscyplinarności historii doktryn politycznych i prawnych

*Nie widzę siebie w lustrze, to moje odbicie widzi mnie.*  
Paradoks do medytacji zadawany uczniom zen

Gdybym chciał dociec, kiedy po raz pierwszy zaintrygowała mnie możliwość łączenia z sobą różnych gałęzi humanistyki od architektury po poezję, to musiałbym się cofnąć do momentu, gdy zacząłem czytać, trzecie już wtedy wydanie *Sztuki cenniejszej niż złoto* Jana Białostockiego<sup>1</sup>. Lotność pióra i wielość skojarzeń Autora sprawiły, że fascynacja ta przetrwała i może wtedy zrozumiałem (w ograniczony zresztą sposób) jedność myśli ludzkiej oraz wielość form jej przekazu. Wprawdzie wybrana profesja mogła mnie skutecznie odciągnąć od tego, co traktowałem raczej jako hobby, lecz los sprawił, że od historii myśli polityczno-prawnej już nie odszedłem.

Pisząc o tytułowym „zwierciadle”, nawiązuję do słynnego z cytatu z Alanusa ab Insulis (1114–1202): *Omnis mundi creatura / Quasi liber et pictura / Nobis est speculum*<sup>2</sup>. A kontynuując ten wątek, również do popularnego i używanego w XIII wieku pojęcia i zarazem formy *speculum*, których było wiele i przybierały różne postacie – od religii, poprzez obyczaje, po prawo, by wspomnieć jedno z najbardziej znaczących dla religii i ówczesnej nauki *Speculum* Wincentego z Beauvais (około 1250 roku) czy równie znaczącego dla prawa *Zwierciadła saskiego* (*Sachsenspiegel*, około pierwszej połowy XIII wieku), czyli zbioru prawa zwyczajowego, stosowanego w cesarstwie, autorstwa Eike von Repkowa. W owych „zwierciadłach” dostrzegam istotę odbijania się myśli w wielu odgałęzieniach historii i odwrotnie – dostrzeganie jej obrazu w innych formach twórczości epok minionych. W tym kontekście tkwi też problem interdyscyplinarności historii doktryn politycznych i prawnych. Problem, który historycy doktryn często podnoszą, lecz równie często kwitują dość lapidarnym stwierdzeniem, iż ta część wiedzy ma charakter interdyscyplinarny lub jej przedmiot ku takiej interdyscyplinarności skłania.

---

\* Prof. zw. dr hab., Uniwersytet Jagielloński.

<sup>1</sup> J. Białostocki, *Sztuka cenniejsza niż złoto*, Warszawa 1960.

<sup>2</sup> „Całość stworzenia to dla nas / Jakby księga i malowidło / i zwierciadło”. Przeł. cyt. za: H. Markiewicz, A. Romanowski, *Skrzydlate słowa*, Kraków 2007. Cytat ten spopularyzował U. Eco w *Imieniu róży*, choć tłumacz nadał mu nieco inny sens.

Zdania takie pojawiają się najczęściej we wstępach do podręczników tudzież syntez mających szerszy lub bardziej szczegółowy wymiar.

Świadomość konieczności sięgania do innych dyscyplin i poszerzania zakresu zainteresowań towarzyszyła wszelkim poczynaniom historyków od momentu, kiedy historia stała się nauką w pełnym tego słowa znaczeniu. W roku 1837 Michelet tłumaczył Sainte-Beuve'owi:

Gdybym wprowadził do wykładu jedynie historię polityczną, a nie brał pod uwagę różnych elementów historii, takich jak religia, prawo, geografia, literatura, sztuka itd., moja postawa byłaby zupełnie inna. Ale potrzebny był wielki żywotny ruch, albowiem wszystkie te różnorodne składniki spletały się w jedność opowiadania<sup>3</sup>.

Z takich stwierdzeń – a było ich niemało od początków wieku XIX – wyrosła więk szość dyscyplin historycznych i rozwinęła się świadomość specjalizacji oraz – w przeciwnym kierunku podążająca – konieczność integrowania zarówno badań, jak i ich wyników. Marc Bloch dodawał jeszcze:

Istnieje zatem jedna tylko wiedza o człowieku w czasie, wiedza, która wymaga bezustannego łączenia studiów nad światem umarłych z obserwacją żywych... Zawsze będą specjaliści od świata współczesnego, tak jak są specjaliści od epoki kamiennej lub egiptologii. Od jednych i od drugich wymaga się po prostu, by pamiętali o tym, że samowystarczalność nie sprzyja poszukiwaniom historycznym. W izolacji żaden historyk nie zrozumie żadnego zjawiska do głębi, nawet zjawiska z własnego terenu badań. Jedyłą prawdziwą historią jest historia uniwersalna, a ta może rozwijać się tylko przy wzajemnej pomocy<sup>4</sup>.

Oczywiście, w słowach Blocha kładącego fundamenty pod szkołę „Annales” było wiele idealizmu i optymizmu. Nie dało się jak dotąd zrealizować owej „historii uniwersalnej”, choć umiejętność korzystania z wielu wymiarów wiedzy historycznej, integrowania wyników, czerpanie z różnych rodzajowo źródeł stały się udziałem nie tylko historyków *par excellence*, takich jak Fernand Braudel, lecz także historyków literatury i literaturoznawców, historyków sztuki i architektury, historyków filozofii, wreszcie historyków prawa, ustroju lub właśnie myśli polityczno-prawnej. Z pełnym szacunkiem wspominam tu również historyków myśli socjologicznej i psychologicznej, historyków antropologii w jej różnych wymiarach tudzież tych, którzy nie zostali tu wymienieni, choć na to zasługują.

Bloch znów idealistycznie oczekiwał stworzenia nowej metodologii historii, choć nawet i ta, która istnieje dziś w postaci obszernych dzieł, niekoniecznie funkcjonuje na poziomie jednostkowych poczynañ historiograficznych, gdzie spełnione by zostały wszystkie postulaty autorów parających się niemal wyłącznie metodologią historii czy historią historiografii. Przyczyn tego stanu rzeczy może być wiele. Uczni to przeważnie gatunek bardzo indywidualny („istota niestandardowa”, jak pisał Konstanty Grzybowski)<sup>5</sup> i indywidualistycznie traktujący swoje badania, a więc stosujący własne

<sup>3</sup> Cyt. za: M. Bloch, *Pochwała historii czyli o zawodzie historyka*, przeł. W. Jedlicka, Kęty 2009, s. 143.

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 65–66.

<sup>5</sup> Świadomie przywołuję tu artykuł K. Grzybowskiego, *Uczony – istota niestandardowa* [w:] *Refleksje sceptyczne*, Warszawa 1970, t. I, s. 464–481, bowiem autor wprawdzie stworzył pewien model uczonego realizującego własne badania i dzieła, kształtującego młodą kadrę oraz przywiązującego znaczną wagę do me-

metody i kryteria naukowości. Oczywiście, nie zajmuję tu żadnego stanowiska skrajnego w rodzaju P. Feyerabenda i jego *Przeciw metodzie* tudzież stwierdzeń w rodzaju „wszystko ujdzie” lub „ani reguły, ani zasady, ani nawet fakty nie są uświęcone raz na zawsze”<sup>6</sup>. Sądzę jedynie, że budowa warsztatu danego historyka w tym i historyka doktryn odbywa się nader samodzielnie z pominięciem wielu reguł wytyczanych przez metodologów lub przez różne tradycje wraz ze zmieniającą się rzeczywistością. Specjalizacja, o której wspominałem wcześniej, pogłębia tylko podziały i zarazem skłonności do zamykania się w obrębie własnej specjalności lub ulubionego wycinka czasu minionego, co czasem przypomina dawne mapy i granice, poza którymi widnieje napis *Hic sunt leones*. Innymi czynnikami są przedmiot i cel badań, które w owym indywidualnym oglądzie determinują badacza, ulegając swoistej izolacji i absolutyzacji i narzucając wielu uczonym określony styl narracji czy inne formy eksplikacji dalekie od wymagań stawianych przez metodologów np. względem modelu, syntezy, analizy etc. Paradoksalnie tak właśnie postąpił krąg uczonych skupionych wokół „Annales” w osobach Fernanda Braudela, Jeana Delumeau, Georges’a Duby czy Jacques’a Le Goffa. Wreszcie istnieje coś, co określiłbym „presją źródłową” w postaci sięgania niemal wyłącznie do własnego kręgu źródłowego związanego li tylko z uprawianą dyscypliną, a częściej jeszcze z jej wycinkiem. Można by wymienić ponadto co najmniej kilka przyczyn rozbieżności pomiędzy postulatami czy raczej dogmatami metodologicznymi a praktyką życia naukowego, lecz tu przypomina o sobie „brzytwa Ockhama” i rzeczywisty stan badań i wyników, jaki można dostrzec gołym okiem. Daleki jestem od jednoznacznego odrzucania pożytków płynących z uprawiania badań metodologicznych i ich publikacji, lecz jednocześnie nie wierzę, by powstała „nowa metodologia” kierująca środowisko wszelkich historyków, a więc ludzi profesjonalnie badających przeszłość, w stronę owej „uniwersalnej historii”<sup>7</sup>. Podobnie, choć o wiele jeszcze skromniej rzecz się ma z historykami doktryn.

Dla tych ostatnich rezerwuję ze względów czysto partykularnych miejsce odrębne, choć oczywistą sprawą jest, że nie powstała, jak dotąd, żadna „uniwersalna historia doktryn politycznych i prawnych” i zapewne nigdy nie powstanie, chociażby ze względów światopoglądowych, a problemy natury teoretyczno-metodologicznej nie cieszą się w środowisku polskim specjalną popularnością czy zainteresowaniem. Przyczyn tego stanu rzeczy jest wiele, a jedną z podstawowych pozostaje w moim mniemaniu właśnie owa interdyscyplinarność, niosąca wiele problemów i odstręczająca wręcz nie tylko od jej rozważania w wymiarze teoretycznym, ale jeszcze bardziej od stosowania jej w praktyce, czy to badawczo-naukowej, czy tylko – nawet w skromnym wymiarze – dydaktycznej. Tu należałoby postawić kilka pytań w rodzaju, czym jest owa interdyscypli-

---

nologii i jej rozwoju, jednak w swych dziełach rzadko przestrzegał reguł metodologii historii, zwłaszcza tej wyłożonej w pracach uznawanych za „kanoniczne”. Sam natomiast posiadał znakomity i wszechstronny warsztat naukowy, doskonale służący jego indywidualnym potrzebom, unikając jednocześnie w wielu wypadkach wywodów teoretyczno-metodologicznych w postaci chociażby wstępu do swych syntez.

<sup>6</sup> P. Feyerabend, *Przeciw metodzie*, przeł. S. Wiertlewski, Wrocław 1996, s. 128.

<sup>7</sup> Daleki jestem od kwestionowania niemal klasycznych osiągnięć w tej mierze M. Handelsmana, W. Moszczeńskiej, J. Topolskiego czy A.F. Grabskiego, sam działając w redakcji i publikując w „Historyce” tudzież popelniając niegdyś *Szkice o historii doktryn politycznych i prawnych*, Warszawa–Kraków 1985. Mogę stwierdzić tylko we własnym imieniu, że umiejętność i możliwość wykorzystania owych dzieł była ograniczona, wrywkowa, choć z pewnością pożyteczna.

narność w historii doktryn, jaki jest jej przybliżony obszar, a wreszcie, czemu miałyby służyć i czy jest niezbędna?

Zastanawiając się nad tym, czym jest lub może być owa interdyscyplinarność w historii doktryn, powracam raz jeszcze do cytowanego artykułu K. Grzybowski, który kandydatowi na uczonego w swej dyscyplinie stawiał warunki znajomości nie tylko łaciny, lecz także paleografii, historii filozofii, historii religii, etnologii, psychologii, historii gospodarczej, nie wspominając już o perfekcyjnej znajomości historii politycznej<sup>8</sup>. Nie sądzę, by dziś wielu uczonych i pracowników nauki (tak postrzegał ten podział Grzybowski) spełniało owe wszystkie wymogi, włącznie z autorem tegoż eseju. Nie mylił się z pewnością co do jednego, że historia doktryn we wszystkich swoich wymiarach związanych z badaniami i dydaktyką musi wzbogacać i rozszerzać swój horyzont poza historię prawa i dawną historię filozofii prawa, a nawet lepiej lub gorzej rozkwitającą politologię wraz z filozofią polityki, jej historią czy tzw. (od czasów użycia jej przez A.J. Lovejoya) historią idei, której granice są jak dotąd równie pojemne, co mgliste. Siłą rzeczy powinna wkraczać w większość nauk humanistycznych wiążących się z myślą polityczno-prawną, a ta w swojej istocie praktycznie nie posiada granic poza horyzontem, jaki sam sobie wyznaczy badacz tejże materii. Należy więc szukać ograniczeń dla interdyscyplinarności nie tyle w przedmiocie, ile w subiektywnych ograniczeniach podmiotu badającego. Można, oczywiście, dokonać takiego samoograniczenia, bo jak pisze Marcin Król:

Kiedy zajmujemy się historią sztuki lub literatury, wiemy z góry, że są to dziedziny **pozostające niemal bez wpływu na to, co określamy mianem rzeczywistości** [podkr. – M.J.]. Jeżeli nawet czasem niektórym artystom czy filozofom przypisuje się zbawienny lub zgubny wpływ na bieg spraw publicznych, to raczej nie ze względu na ich poglądy, ale dlatego, że traktowani jako autorytety zachowali się, wedle naszej oceny, dobrze lub też źle<sup>9</sup>.

Pozostaje zapytać tylko, co uczynić z odbiorem społecznym wielkich dzieł doby renesansu, manieryzmu, baroku czy romantyzmu po *Guernicę* Picassa i Muzeum Żydów w Berlinie, co uczynić z odbiorem literatury od renesansu po współczesność, jak zignorować ich wpływ na ową „rzeczywistość”, czy kształtowały ją, czy też nie? Wszak wielu spośród wybitnych twórców nie miało kryształowych charakterów (Da Vinci, Michał Anioł, Rafael), a za to mnogość skaz w swoich życiorysach (Caravaggio, Cellini), co nie wpłynęło na ich wielkość artystyczną czy literacką. Całkowicie nie zgadzając się z autorem, rozumiem, że dokonał on własnego wyboru, co jest jego prawem. Sama interdyscyplinarność nie posiada ani ścisłej, ani wiążącej definicji, ani ostro zarysowanych granic, jest bowiem rozpoznawalna intuicyjnie, a praktycznie w poczynaniach badawczych; jest po prostu faktem metodologicznym, z którym można się godzić lub go ignorować<sup>10</sup>.

Interdyscyplinarność lub jej brak ujawnia się w obszarze badawczym w co najmniej dwóch postaciach. W pierwszej dostrzegamy ją jako znaczne ograniczenie bazy źród-

<sup>8</sup> K. Grzybowski, *Uczony...*, s. 472–473.

<sup>9</sup> M. Król, *Historia myśli politycznej. Od Machiavellego po czasy współczesne*, Gdańsk 1998, s. 7.

<sup>10</sup> Żadna z definicji encyklopedycznych czy słownikowych tudzież odpowiedzi w wyszukiwarkach internetowych nie jest w tej mierze satysfakcjonująca z racji albo zbytnej ogólnikowości, albo odniesienia jej do gałęzi wiedzy, w których brak w ogóle historii i nauk historycznych.

doktryn. Nie powstały jak dotąd syntezy na miarę dokonań historyków filozofii, myśli socjologicznej, historyków literatury, sztuki czy architektury. Nie jest to krytyka pod adresem innych uczonych mojej profesji, w tym i autokrytyka, lecz konstatacja istniejącego stanu rzeczy.

\*\*\*

Przykładowo, gdy sięgnie się do łatwo dostępnego dla polskiego czytelnika dzieła Arnolda Hausera, historyka literatury i sztuki, pt. *Społeczna historia sztuki i literatury*, napisanego przecież w roku 1951, to uderza nas nie tylko rozpiętość czasowa, lecz także perfekcyjna konstrukcja i właśnie wielość źródeł, gdzie znajdziemy również te, które dotąd były w Polsce niemal wyłączną domeną historyków doktryn<sup>13</sup>. Można ową syntezę uznawać za nieco przestarzałą w sferze części wywodów, sądów, ocen lub konkluzji. Trudno jednak podważyć sam rezultat, jakim było stworzenie syntetycznego obrazu przemian artystycznych na tle zmieniającego się społeczeństwa, a także procesów odwrotnych, polegających na pokazaniu, jak owe zmiany społeczne wpływały na przekształcenia formy i treści przekazu literackiego, ikonograficznego czy architektonicznego. Nieważne jest w tym momencie, czy autor zbytnią wagę przywiązuje do manieryzmu, pomieszczając w nim kwestie realizmu politycznego doby renesansu z Machiavellim na czele, czy zbytnio komplikuje i rozczłonkowuje sprawę romantyzmu, a w tym i niemieckiego romantyzmu politycznego, ważne staje się to, że powstało samo *iunctim*, łączące pozornie różne kwestie stylu i treści w jedną spójną całość. A przecież są dokonania jeszcze bardziej bliskie historii doktryn, by wziąć przykład z *Historii myśli socjologicznej* Jerzego Szackiego, która w znakomity sposób poszerza horyzont spojrzenia na refleksję prawnopolityczną z odmiennej, ale jakże inspirującej perspektywy. W ślad za tym podąża równie klasyczna dziś *Mimesis. Rzeczywistość przedstawiona w literaturze Zachodu* Ericha Auerbacha oraz wyrafinowane wywody Mario Praz. Tylko nieco dalej stoją wielkie i historyczne dziś syntezy wznowionego właśnie Nikolauśa Pevsnera – jego *Historia architektury europejskiej*, wspaniale uzupełniająca wykład myśli politycznej o dokonania epoki romańskiej i gotyckiej. Wznawiana jest klasyka, jak np. *O sztuce* Ernsta H. Gombricha, ale też i najnowsza synteza Juliana Bella *Lustra świata*, sięgająca daleko poza granice europejskie i zrealizowana z niezwykłą konsekwencją<sup>14</sup>. A obok nich dokonania polskie, np. Jana Białostockiego, Mieczysława Porębskiego i Ksawerego Piwockiego, gdzie wątki społeczne i polityczno-ustrojowe, tkwiące u podstaw dzieł sztuki, pojawiają się z całą wyrazistością, wskazując jednocześnie całe

---

niejszych podręczników i wyborów źródeł, co jednak zbyt mocno utrwaliło ów kanon w czasie, a nie jest to zjawisko pożądane.

<sup>13</sup> A. Hauser, *Społeczna historia sztuki i literatury*, przeł. J. Ruszczycówna, t. 1–2, Warszawa 1974.

<sup>14</sup> J. Szacki, *Historia myśli socjologicznej*, t. 1–2, Warszawa 1981; E. Auerbach, *Mimesis. Rzeczywistość przedstawiona w literaturze Zachodu*, Warszawa 1968; M. Praz, *Mnemosyne. Rzecz o powinowactwie literatury i sztuk plastycznych*, wyd. II, Gdańsk 2006; E.H. Gombrich, *O sztuce*, Warszawa 1997; *idem, Sztuka i złudzenie*, Warszawa 1981; J. Bell, *Lustra świata. Nowa historia sztuki*, Warszawa 2009.

podglebie społeczne, na którym wyrosły<sup>15</sup>. Równie pożyteczne i przydatne może być dla historyka doktryn zapoznanie się z przemyśleniami na temat sztuki bądź co bądź archeologa i orientalisty André Malraux<sup>16</sup>. I właśnie to jest umiejętnością poruszania się na styku różnych dyscyplin, które genetycznie są przecież tożsame.

Jeśli wspominałem o genetycznej tożsamości przywołanych wyżej dyscyplin, to miałem na myśli zarówno sferę przedmiotu badanego, jak i działania badacza. Mieszczą się one w kategorii słowa używanego w języku potocznym, czyli **tworzenia**. Można oczywiście w tej płaszczyźnie stworzyć opozycję, używając słowa „**odkrycie**”, które z reguły przypisuje się naukom przyrodniczym i ścisłym, ale to już odrębny wątek<sup>17</sup>. „Tworzenie”, „zamyśl twórczy”, „proces twórczy” czy wreszcie sam „twórca” to słowa najczęściej używane przez mających do czynienia z myślą ludzką, której przeobrażenia w formie materialnej i niematerialnej można mnożyć niemal w nieskończoność. Akt twórczy odnoszony tu do sfery myśli ludzkiej nie posiada charakteru ani jednolitego, ani tak identycznego, by ująć go w ramy definicji lub zwartego opisu, a jednak – będąc indywidualnym bytem – pozostaje intuicyjnie i zmysłowo tożsamy i spójny. Oto powstaje hipotetyczne dzieło, np. religijne, filozoficzne, polityczne, prawne, literackie, muzyczne, malarskie czy architektoniczne, gdzie zamyśl twórczy miałby w założeniu wymiar i charakter jednorazowy nawet wtedy, gdy realizacja tego dzieła byłaby rozciągnięta w czasie. Wizja literacka, malarska czy architektoniczna stanowiłaby akt twórczy o charakterze niemal iluminacji czy irradiacji bez względu na to, ile lat pracował św. Augustyn nad *De civitate Dei*, św. Tomasz nad *Summą teologiczną*, nad głównym zrębem swej twórczości Machiavelli czy też nad cyklami powieściowymi Balzak lub Proust, bez względu na to, ile lat powstawały freski Sykstyńskie czy dzieła architektury, realizowane niekiedy przez kilka lat lub wieków, jak choćby katedra w Kolonii. Często też liczy się jedynie sam pierwotny kształt twórczy, a w następnej kolejności dopiero realizacja, czasem uważana wręcz za wtórność lub rzemiosło. W jaskrawym przykładzie drzeworytu japońskiego (*ukiyo -e*), autorem pozostaje zawsze twórca rysunku ulegającego zagładzie w trakcie rytowania, a nie sam rytownik, choć to on odpowiada za ostateczny efekt. Inaczej jest już w przypadku kartonów sykstyńskich, które uległy potem zniszczeniu, lecz ich pierwotny kształt pozostał zachowany *al fresco* na ścianach kaplicy, lub też kartonów wawelskich witraży Wyspiańskiego, na szczęście zachowanych, by móc je porównać z nieudolnym odtworzeniem w czasach nam współczesnych. Najbardziej twórczy koncept obciążony jest zawsze wysiłkiem, a praca nad jego wykonaniem, jeszcze większa, zwłaszcza gdy chodzi o utrwalanie jej na papierze, tynku czy w kamieniu, o czym świadczą chociażby niektóre sonety Michała Anioła czy autobiografia Celliniego, poświęcone jak najbardziej realnemu wysiłkowi fizycznemu. Wspólnota źródła, jakim jest

<sup>15</sup> Prezentuję jedynie wybrane przykłady z ogromnego dorobku tych twórców: J. Białostocki, *Refleksje i syntezy ze świata sztuki*, cykl I, Warszawa 1978, cykl II, Warszawa 1987; *idem*, *Symboli i obrazy*, t. I–II, Warszawa 1982; M. Porębski, K. Piwocki, *Dzieje sztuki w zarysie*, t. I–III, Warszawa 1978.

<sup>16</sup> Mam na myśli erudycyjne *opus magnum*, A. Malraux, *Przemiana Bogów*, t. I–III, Warszawa 1985.

<sup>17</sup> Problem ten potraktowałem nieco szerzej w referacie pt. *Rozważania nad pojęciem rozwoju w myśli politycznej i prawnej* wygłoszonym wspólnie z K. Chojnicką na dorocznym X Zjeździe Katedr Doktryn Politycznych i Prawnych, w dniach 23–25 października 2012 r. Materiały konferencyjne w druku, a niezależnie od tego referat ten ukaże się na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego”.

myśl ludzka, staje się tak oczywista, jak i postulat posiłkowania się pokrewnymi dziełami finalnymi i zakresem ich wzajemnego oddziaływania.

Rodzi się dość oczywiste pytanie, czym jest w tej perspektywie sama historia doktryn na tle szeroko rozumianej humanistyki, trudno bowiem rościć sobie pretensje do pełnej działalności twórczej. W istocie swej, wydaje mi się, że posiada ona (podobnie jak wspomniane wyżej inne gałęzie historii) raczej charakter **odtwórczo-opisowo-interpretacyjny**. Nawet jeśli przyjąć tak skromne stanowisko, to wszystko nie zmienia faktu, że operując na twórczych przykładach innych ludzi, historyk doktryn kreuje, a więc tworzy obraz myśli, nurtu czy kierunku patrzenia na refleksje o państwie i prawie. Z natury rzeczy przepuszcza ową hipotetyczną myśl przez filtr swego światopoglądu i zapatrywań politycznych, nadając jej może subiektywny, lecz w jakiejś mierze twórczy charakter. Podkreślam to, by wskazać, że np. dzieła takich uczonych, jak I. Berlina, L. Straussa czy bliższych nam K. Grzybowskiego, J. Baszkiewiczza noszą wszelkie cechy działania twórczego bez względu na to, czy podzielamy ich poglądy.

Jeśli przyjmiemy nawet tak niedoskonałe przedstawiony kształt interdyscyplinarności badań i potrzebę posiłkowania się w ich eksplikacji innymi dziedzinami humanistyki, to otwarte pozostaje pytanie o sposób i cel. Można przecież pozostać w ramach dotychczasowej formy i treści wykładu, nie narażając się na zarzuty „wszystkoizmu” czy dyletanctwa. Uczeni, czy raczej pracownicy naukowci, jak by stwierdził K. Grzybowski, chętnie okopują się na pozycjach w obrębie swojej gałęzi wiedzy, prowadząc stamtąd działania w stylu I wojny światowej. Wiedzie to czasem do śmiesznych sporów o wkroczenie lub zawłaszczanie skrawków terytorium uznanego za wyłączną własność z racji „uświęconej” dyplomem lub – co gorsza – stopniami i tytułem profesji. Dlatego też interdyscyplinarność w historii doktryn nie może być prostym zwierciadlanym odbiciem i odwróceniem tego, czego dokonali już historycy innych specjalności. Byłoby to działaniem niemal tożsamym, tyle że *à rebours*. Potrzebny jest natomiast wykład, który spełniałby nie tylko rolę syntezy, ale należycie wypełniłby liczne „białe plamy” i zadowolili by w jakiejś mierze słuchaczy i czytelników, którzy nie oczekują na to, co było „gdzieś i kiedyś”, bowiem abominacja do słowa „historia” jest dziś wśród studentów rosnąca, choć po części wynikająca z głębokiej niewiedzy, co nie jest do końca ich winą<sup>18</sup>.

\*\*\*

Problem ten nie może się obyć bez egzemplifikacji – wprawdzie wrywkowej, lecz może dla niektórych przekonującej. O dzisiejszej cywilizacji i kulturze społecznej pisze się i mówi, że jest „obrazkowa”, a jej siła polega na wizualizacji tego, co dawniej po-

<sup>18</sup> Nawiązuję tu do eseju M. Jaskólski, *Historia doktryn politycznych i prawnych – Jaka jest, każdy widzi* [w:] *Myśl i polityka. Księga pamiątkowa dedykowana Profesorowi Jackowi Marii Majchrowskiemu*, t. I–III, Kraków 2011, t. II, s. 85–98. Zacytuję tu fragment szerszej opinii zaczerpniętej z internetowego forum studenckiego: „Co urzędnika wykonującego prawo w organie obchodzi, że jakiś pozał się myśliciel setki lat temu ubzdurał sobie, czym jest ustrój!? Petentowi przy biurku mam recytować dzieła Platona i jego główne założenia, żeby mnie wyśmiał?...”. Być może jednak jest to właśnie wynik całości procesu edukacyjnego, destrukcyjnej w tej mierze roli mediów i w końcu samego wykładu, bo nie należy uciekać od odpowiedzialności za jego kształt.

zostawało wyłącznie w sferze myśli i słowa. Unaocnienie pewnych nurtów myślenia politycznego nie jest zabiegiem ani sztucznym, ani formalnym, bo najpierw było ono podstawowym źródłem wiedzy o społeczeństwie, państwie i prawie, potem rozwinięciem i uzupełnieniem refleksji, wreszcie – biegnąc już własnym torem – stało się częścią upowszechniania myśli, która może, ale nie musi, funkcjonować bez tego wsparcia. Być może właśnie teraz historia zatoczyła krąg, by dojść do wtórnej wizualizacji myśli, którą łatwiej przyjmie jej odbiorca z obrazu niż słowa pisanego. A był to krąg bardzo szeroki i bardzo silnie związany z samoświadomością życia w danej epoce dla nas historycznej, którą w formie zamkniętej i nazwanej wymyślili w znacznej mierze historycy różnych profesji. Bo wystarczy zadać pytanie, czy mieszkaniec któregoś z części imperium Aleksandra wiedział, że żyje w rozpoczynającej się dobie hellenizmu, czy poddany Oktawiana Augusta wiedział, że wkracza w erę pryncypatu, czy francuski baron buntujący się przeciw swemu suwerenowi wiedział, że żyje w ustroju feudalnym? Z pewnością nie. Ale już intelektualista XV wieku Giovanni Rucellai w roku 1457 napisze: „Panuje opinia, że nasza epoka ma od roku 1400 więcej powodów do zadowolenia niż którakolwiek inna”. A w roku 1518 Ulrich von Hutten zawoła „Cóż to za wiek, cóż za studia, oto radość życia”<sup>19</sup>. Od renesansu rosła świadomość życia w kolejnej nowej epoce, a co ważniejsze – następowało znaczne jej poszerzenie w skali społecznej, by osiągnąć wymiar dzisiejszej skali informacyjnej, który zapewne nie stanowi jakiegos apogeum. Tu jednak od wynalazku fotografii, filmu, wreszcie telewizji rozpoczął się proces wizualizacji nie tylko informacji, ale i wiedzy, dziś poszerzanej coraz to nowymi nośnikami, np. DVD, e-bookiem i jego czytnikiem czy wielofunkcyjnym smartfonem, a przecież nie jest to kres możliwości.

W tym też momencie przychodzi myśl, że paradoksalnie powracamy do dydaktyki kościołów i opactw romańskich, katedr gotyckich, gdzie funkcje nauki religii, czasu religijnego i świeckiego oraz pracy dnia codziennego spełniały portale i rzeźby obrazujące splot duchowości i przyziemności, gdzie *sacrum* i *profanum* łączyło się w jedność, a od męczącej czasem zmienności naszego dnia oddziela je teraz tylko statyczność i trwanie w czasie<sup>20</sup>. Przetrawło to zresztą w jakiejś części po czasy nam bliskie, bo wystarczy przyjrzeć się dokładnie fasadzie i detalom portali *Sagrada Familia* dzieła Antonia Gaudiego oraz przeczytać którąś z jego biografii, by mieć jasny obraz jego inspiracji duchowej i formalnej<sup>21</sup>. Spoglądając na ów problem nawet z perspektywy czysto dydaktycznej, może warto ten hipotetyczny jak na razie wykład historii doktryn wzbogacić tak lubianymi przez studentów „prezentacjami” właściwymi danej epoce. Wszak papież

<sup>19</sup> Cyt. za: J. Delumeau, *Cywilizacja Odrodzenia*, przeł. E. Bąkowska, Warszawa 1987, s. 83–84.

<sup>20</sup> Obok znakomitych syntetyzujących omówień Pevsnera, Białostockiego oraz G. DUBY, *Czasy katedr. Sztuka i społeczeństwo 980–1420*, Warszawa 1986, warto np. sięgnąć do cząstkowych monografii dających wiarygodną wykładnię doktrynalną owych dokonań, np. J. Dębickiego, *Zachodni portal katedry Świętego Łazarza w Autun*, Kraków 2002. Autor daje tu doskonały przykład powiązania interpretacji religijno-doktrynalnej z dziełem rzeźbiarskim, które stanowi może najbardziej dojrzałe dzieło sztuki romańskiej doby przedscholastycznej (w dodatku w pełni autorskie podpisane przez mistrza Gislebertusa, co jest ewenementem), konfrontując je jednocześnie z królewskim portalem w Chartres, będącym zapowiedzią kunsztownej rzeźby gotyckiej (rok wcześniej ukończono chór w Saint-Denis), tworzonej w klimacie doktrynalnym scholastyki (postacie Pitagorasa i Arystotelesa), choć dziełem niemal jak zawsze anonimowym.

<sup>21</sup> G. van Hensbergen, *Gaudi*, przeł. I. Chlewińska, Poznań 2001.



Grzegorz Wielki napisał „Obraz jest tym dla ludzi prostych, czym pismo dla umiejących czytać”. Prezentacji, wzbogaconej ewentualnie oryginalnymi komentarzami zaczerpniętymi chociażby z pism św. Bernarda z Clairvaux czy też Bartłomieja z Anglii i jego encyklopedycznego *De proprietatibus rerum* (około roku 1240), opata Sugera, inspiratora i fundatora pierwszej budowli w pełni gotyckiej, doradcy dwóch królów, wodza i uczonego, który w swym niewielkim dziełku ukazał doktrynalny zamiar i jego realizację architektoniczną, czy opatrzonego rysunkami oryginalnego podręcznika budownictwa Villarda de Honnecourt (1235), czy wreszcie wcześniejszymi o wiek „Drzwiami gnieźnieńskimi” niedocenionymi w literaturze zachodniej, a przecież niepowtarzalnymi w narracji właśnie obrazkowej. A jeśli pragniemy czegoś bardziej świeckiego, to pozostaje starsza niemal o dwa wieki „Tkanina z Bayeux”, będąca swoistą pierwociną filmu, a raczej komiksu przedstawiającego podbój Anglii przez Wihelma Zdobywcę, czy wspaniałe rzeźby „Jeźdźca bamberskiego” (domniemany portret św. Stefana, ale też uznany za archetyp osoby zamachowca płk. Stauffenberga)<sup>22</sup> lub donatorów katedry w Naumburgu wraz z symbolicznymi, bo imaginowanymi (wiek XIII, a kościół powstał w wieku XI) postaciami „uśmiechniętej Polki” (Regelinda, córka Bolesława Chrobrego wraz mężem Hermannem) i wyniosłej Germanii (Uta wraz z mężem Ekkehardtem). Może jednak warto to uczynić, nawet kosztem mniejszej liczby myślicieli i kierunków doktrynalnych – średniowiecze to wyjątkowo trudna epoka w narracji wykładu – a poszerzyć o dobre i ciekawe wstępy i wprowadzenia w epokę, ostatnio systematycznie pomijane w podręcznikach.

Zgoła innym przykładem może stać się konfrontacja doktrynalna reformacji (jeśli przyjąć symbolicznie wystąpienia Lutra, Melanchtona, Kalwina i schizmę angielską) i kontrreformacji (założenie przez św. Ignacego Loyolę Towarzystwa Jezusowego i dzieło soboru trydenckiego), rozciągająca się na długą przestrzeń aż po początek wieku XVIII. Oczywiście zrozumienie warstwy doktrynalnej, by uzyskać w miarę klarowny obraz konfliktu religijno-politycznego, wymagałoby znacznego poszerzenia tych części podręczników, a przynajmniej lepszych wprowadzeń w problematykę oraz wskazania zakresu literatury podstawowej chociażby w języku polskim<sup>23</sup>.

Inaczej rzecz się ma z warstwą ilustracyjną czy literacką tego okresu. Tu nadmiar materii podlegałby ścisłej selekcji, bowiem chodzi tu nie tylko o płaszczyznę twórczości religijnej, lecz i świeckiej. A jeśli sakralnej, to której – protestanckiej czy katolickiej, a gdy chodzi o literaturę, to tę już po części narodową i elitarną oraz w pełni autorską czy ludową, ludyczną, satyryczną i paszkwilancką, najczęściej anonimową? Konflikt religijno-polityczny rozgrywający się za sprawą Lutra można przecież pokazać za pomocą

<sup>22</sup> Por. M. Baigent, R. Leigh, *Tajne Niemcy. Claus von Stauffenberg i jego mistyczna krucjata przeciw Hitlerowi*, przeł. R. Sudół, Warszawa 1997. Analogia ta nie jest wbrew pozorom bezpodstawna i jest dobrze udokumentowana, choć oczywiście nieco mistyczna.

<sup>23</sup> Przykładowo wymienić tu można: P. Chaunu, *Czas reform*, przeł. J. Grosfeld, Warszawa 1989, wraz z cennym dodatkiem w postaci map; J. Delumeau, *Reformy chrześcijaństwa w XVI i XVII w.*, t. 1 i 2, przeł. J.M. Kłoczowski, P. Kłoczowski, Warszawa 1986, wraz z bogatym wykazem literatury obejmującym również dokonania polskie w okresie wydania książki. Nieco starszą, ale wciąż aktualną monografię J.M. Todda, *Reformacja*, przeł. J.S. Łoś, Warszawa 1974, wraz z bogatą bibliografią głównie anglojęzyczną. Ponadto warto sięgnąć do A. Hausera, *Spółeczna historia...*, t. I, s. 283–382, jest to bowiem jedna z najlepszych części jego dzieła.

grafiki, masowo rozpowszechnianej w Rzeszy i nie tylko, tudzież wierszy może literacko bezwartościowych, ale daleko wykraczających poza to, co dziś nakazuje „poprawność polityczna”<sup>24</sup>. W omówieniach historyków doktryn roztapia się przeważnie konflikt wewnętrzny samej reformacji. Nie ma „wściekłego psa Müntzera” (słowa Lutra), nie ma też konfliktu duchowego u bogatego luterańskiego mieszczanina Albrechta Dürera, który chyba kierując się wyrzutami sumienia, zaprojektował kolumnę upamiętniającą wojnę chłopską<sup>25</sup>. Istnieje jeszcze inna wizualna i literacka strona konfliktu, który nakłada się na rozwój stylów sztuki w postaci manieryzmu i baroku ewokujących w warstwie sakralnej po stronie Kościoła rzymskiego jego tryumfalistyczny i zwycięski charakter, aż po jego teatralizację w architekturze i rzeźbie od schyłkowego Michała Anioła po dzieła Berniniego i Borrominiego oraz ich następców<sup>26</sup>. Artystyczne generowanie skutków soboru trydenckiego sięgać będzie w cały wiek XVII i początek XVIII w postaci nie tylko zmiany wystroju wewnętrznego kościołów podporządkowanych nowej liturgii, ustanowieniu katechizmu, psalterza i mszału, ale także stworzenia nowej architektury, nowego malarstwa i rzeźby. Przecistawienie się poglądom Lutra, a w Zurychu – Zwinglego na sztukę, literaturę sakralną i świecką, ich autentyczny wstręt wobec przepychu i wręcz ikonoklazm – nie bez racji Erazm z Rotterdamu napisze: *ubique regnat lutheranismus, ibi literarum est interitus* („gdzie panuje luteranizm, tam ginie literatura”) – zrodzi nie tylko jezuicki styl i kanon rzymskiego kościoła *Il Gesu*, ale też po wojnie trzydziestoletniej np. monumentalny, wręcz przytłaczający ogromem, kościół św. Mikołaja w Pradze (Mala Strana) czy liczne wotywnie „kolumny morowe”, rozsiane po całych Czechach i Dolnym Śląsku, oznaczające w równej mierze zwycięstwo nad chorobą, co i nad zarazą protestantyzmu<sup>27</sup>. Wszystko to i o wiele więcej stanowić może nie tylko część dydaktyki uzupełniających podręcznik, ale nawiązanie do tego, co możemy naocznie zobaczyć dziś, a nie „kiedyś”. Z własnych doświadczeń wiem, że czasem warto nawet dla nielicznych. Bez tego trudno zrozumieć idee religijno-polityczne Francisca Suareza, Roberta Bellarmino, ale też ideologie absolutyzmów XVI i XVII wieku tudzież, a może przede wszystkim – mozaikę poglądów oraz temperaturę sporów polskich tego okresu z niedokończonym dziełem Ruchu Egzekucyjnego, pismami i polemikami Modrzewskiego, Orzechowskiego, Budnego, Socyna, Sebastiana Petrycego czy Warszewickiego w tle.

<sup>24</sup> Sądzę, że część nawet najłagodniejszych drzeworytów i wierszy atakujących rzymską *magna mater* i katolicą, potępiającą Lutra i jego wyznawców, mogłaby dziś w razie ich prezentacji wizualnej wywołać spory „konflikt światopoglądowy”.

<sup>25</sup> Dürer zamieścił ów projekt dość ostrożnie w cyklu *Pouczenia o mierzeniu cyrklem i linią* (1525). Kolumna jest zbudowana z narzędzi pracy rolnika i płodów ziemi, a na szczycie w pozie *Christusa frasobliwego* siedzi chłop przebitý potężnym *zweihänderem*.

<sup>26</sup> Wystarczy spojrzeć na kolumnadę otaczającą plac św. Piotra czy bardziej iluzjonistyczne dzieła Berniniego, jak choćby *Scala Regia* lub *Ekstaza św. Teresy* w Santa Maria della Vittoria.

<sup>27</sup> Dodać należy, że rozwinięty barok dotarł na ziemię Habsburgów z pewnym opóźnieniem, stąd jezuicki Kościół Pragi został ukończony na 70 lat przed kasatą zakonu, a większość „kolumn morowych” z tą największą i najbardziej ozdobną w Ołomuńcu powstała na przełomie XVII i XVIII w. Wystarczy w Krakowie przejść się ulicą Grodzką, by w sąsiedztwie obejrzeć fasady i wnętrza kościołów krakowskiego *Il Gesu* pod wezwaniem św. św. Piotra i Pawła oraz pozbawionego wszelkich ozdób klasycyzującego kościoła luterańskiego pod wezwaniem św. Marcina (dawniejszego kościoła katolickiego zresztą). O współczesnej kolumnie poświęconej Piotrowi Skardze przez litość dla fundatorów i artysty nie wspomnę.

Jeszcze innym, ostatnim przykładem może być romantyzm – jako zjawisko kulturowe, styl sztuki, literatury, życia i w końcu myślenia politycznego. Oczywiście, można tu wskazać tylko wybrane tropy, sam romantyzm bowiem jest formułą tak obszerną, że zamiar wytyczenia nawet jego kierunków czy odmian jest skazany w tym eseju na niepowodzenie. Wyboru tego dokonałem celowo, bowiem większość podręczników sprowadziła go niemal wyłącznie do zagadnienia niemieckiego romantyzmu politycznego, licząc, że lektury szkolne wypełnią lukę w zakresie innych jego odmian narodowych z polską jego wersją na czele. To też jest swoistą „białą plamą” o tyle znaczącą, że romantyzm czy angielski, czy rosyjski, czy francuski miały nie mniejszy wpływ i mają do dziś na styl myślenia politycznego tych nacji. Jego wagę umiał właśnie docenić cytowany Arnold Hauser:

Romantyzm był nie tylko ruchem ogólnoeuropejskim, który ogarnął jeden naród po drugim i stworzył literacki język uniwersalny, tak samo w końcu zrozumiały w Rosji i Polsce, jak w Anglii i Francji; okazał się równocześnie jednym z tych kierunków, które – jak naturalizm gotyku albo klasycyzm renesansu – pozostały stałym czynnikiem rozwoju... Cała egzaltacja, anarchia i dzikość sztuki nowoczesnej, jej pijany i bełkoczący liryzm, niepomahowany ekshibicjonizm sięga romantyzmu<sup>28</sup>.

Miał zbyt wiele oblicz i zbyt wielu typów „bohatera romantycznego”, a w końcu zbyt wiele sprzeczności wewnętrznych, by móc ogarnąć go w całości.

Wszędzie istniał romantyzm rewolucji, podobnie jak romantyzm kontrrewolucji i restauracji. Danton i Robespierre byli tak samo niezyciowymi dogmatykami, jak Chateaubriand i de Maistre, Görres oraz Adam Müller. Friedrich Schlegel był romantykiem zarówno w latach swej młodości, kiedy entuzjazmował się Fichtem, *Wilhelmem Meistrem* Goethego i rewolucją, jak i w starszym wieku, kiedy zachwycał się Metternichem i Świętym Przymierzem

– to jeden z wielu sądów, jakie wypowiedzieć można o licznych sprzecznościach romantyzmu nawet wewnątrz jego narodowych odmian<sup>29</sup>. A jak pogodzić Byronowskiego refleksyjnego i wędrującego Childe Harolda z nadludzko odważnymi bohaterami Waltera Scotta czy Victora Hugo, jak pogodzić leniwego, letniego uczuciowo i umysłowo płytkiego Oniegina z nadaktywnym, choć chłodnym i pełnym wzgardy dla życia swojego i cudzego Pieczorinem, jak wreszcie pogodzić Konrada z Kordianem? Jak zrozumieć w malarstwie wpływ Lorraine’a na wczesnego Turnera, śmiało zdążającego przez romantyzm w stronę impresjonizmu z teatralnym rozmachem *Rzezi na Chios*, *Ucztę Sardanapala* Delacroix czy romantyczno-naturalistyczną *Tratwą Meduzy* Gérault? Jak wreszcie poprzez nieco pozerski nawrót do gotyku i „powieści gotyckiej” Horace Walpole’a oraz jego rezydencji Strawberry Hill zrozumieć już w pełni romantyczne obrazy przyrody, ruin i cmentarzy oraz innych romantycznych akcesoriów wraz z kultem germańskich bohaterów w malarstwie Caspara Dawida Friedricha i zarazem klasycyzującą architekturę *Neue Wache* w Berlinie z ciężkimi neogotyckimi bryłami kościołów i pałaców w Kamieńcu Ząbkowickim, Mysłakowicach, powstałymi na zamówienie Hohenzollernów autorstwa tego samego człowieka, czyli Karta Schinkela? Ów „uniwersalny język” romantyzmu, o którym pisze Hauser, niewątpliwie istniał, tyle że

<sup>28</sup> A. Hauser, *Społeczna historia...*, s. 130.

<sup>29</sup> *Ibidem*, s. 132.

mając może bogate słownictwo, wspólną gramatykę i składnię, różnił się logiką i sensem wypowiedzianych zdań.

Niemiecki romantyzm polityczny nie jest jedyną opcją ideową, jaka powinna być eksponowana w historii doktryn. Owszem, łatwo jest poprowadzić linię ciągłą przez malarstwo Friedricha, muzykę Wagnera i libretta jego oper, filozofię Friedricha W. Nietzschego, rasizm Houstona S. Chamberlaina w stronę konserwatywnej rewolucji, w tym politycznego pisarstwa Ernsta Stewarta Jünger, by dotrzeć w końcu do wątków mistycznych Hitlera i Himmlera (skrzątnie pominiętych w Norymberdze) i gleby, na której wyrósł narodowy socjalizm. Jest to zabieg jednostronny i jednostronnie wyrządzający krzywdę romantyzmowi niemieckiemu oraz romantyzmowi w ogólności. Nie był on bowiem jednorodny – potrafił być i rewolucyjny, i konserwatywny lub reakcyjny, potrafił też być demokratyczny i skrajnie elitarystyczny, a spora przepaść dzieliła Novalisa od Müllera, którzy byli skłonni się zgodzić dla admiracji romantycznego malarstwa Friedricha, lecz całkowicie odmiennie postrzegali kluczowe kwestie ustrojowe i społeczne<sup>30</sup>. Dlatego, nawet jeśli w sferze dydaktycznej pozostajemy w ramach tego jednego przykładu, to słuchaczom należy się też nie tylko szersza egzemplifikacja, lecz w równej mierze posiłkowanie się sztuką i literaturą, bo te właśnie stanowiły najważniejszą część owego „języka uniwersalnego” romantyzmu europejskiego. A ten w swoim szerokim wymiarze naprawdę istnieje, ale niestety głównie w innych dziedzinach humanistyki.

Pozostaje liczyć na to, iż może „kiedyś, gdzieś, ktoś” da się przekonać, że interdyscyplinarność to nie tylko postulat, ale organiczna cecha, a zarazem część przedmiotu. Jeśli nie, to trudno, będziemy mieć historię doktryn taką, jaką jest, a „jaka jest, każdy widzi”.

---

<sup>30</sup> C.D. Friedrich stworzył zresztą w 1818 r. imaginacyjny portret Friedricha von Hardenberga (Novalis), pt. *Wędrowiec przed morzem mgły*. Wnikliwe studia nad Friedrichem i obliczem artystycznym romantyzmu politycznego dał J. Białostocki w cytowanym dziele *Symbole i obrazy*, t. I, s. 368–409. Z punktu widzenia historii doktryn na wyróżnienie zasługuje monografia A. Citkowskiej-Kimli, *Państwo, religia, historia. Myśl polityczna Novalisa Friedricha von Hardenberga*, Kraków 2006, a także świetna synteza tej autorki *Romantyzm polityczny w Niemczech. Reprezentanci, idee, model*, Kraków 2010. Obie te prace wyróżniają się zdolnością do pokazania idei właśnie na szerokim tle kultury tego okresu i wykorzystaniem ogromnej literatury, głównie zagranicznej.